

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





44

dot. do Akc. 1357 D 1171

1788

OBÓZ ŚMIERCI

ZBIÓR RELACJI
Z OBOZU W OŚWIECIMIU
OPUBLIKOWANYCH W KRA-
JU PRZEZ RUCH MAS PRA-
CUJĄCYCH POLSKI

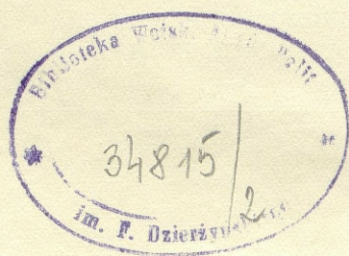
for p. Ceolboz

NAKŁADEM „NOWEJ POLSKI“
w LONDYNIE

SIERPIEŃ — 1943

91, Great Titchfield Street, London, W.P., — Tel. MUS 1409

362



OBÓZ ŚMIERCI

ZBIÓR RELACJI
Z OBOZU W OŚWIĘCIMIU
OPUBLIKOWANYCH W KRA-
JU PRZEZ RUCH MAS PRA-
CUJĄCYCH POLSKI

Don List P.C.K.
N 70 141

~~REFERAT~~
~~KULTURALNO-OSWIATOWY~~
~~Polskiego Czerwonego~~
~~Krzyża~~

~~18859~~

1402

NAKŁADEM „NOWEJ POLSKI“
w LONDYNIE
SIERPIEŃ — 1943

OBÓZ ŚMIERCI

(zbiór relacji zebranych i ogłoszonych drukiem w Kraju)

Ale Ty, Boże! który z wysokości
Strzały Twe rzucasz na Kraju obronę,
Błagamy Ciebie, przez tę garstkę kości!
Zapał przynajmniej na śmierć naszą—słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy!
Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy!

J. Słowacki

Od dwóch lat Oświęcim — urzędowo Auschwitz — jest nazwą, symbolizującą ponurą rzeczywistość polskiego życia pod okupacją niemiecką. Ciężkie Oświęcimia pada na całą Polskę; najdalsze zakątki naszego kraju oddały jego kaźni swych synów i córki. Według zebranych i sprawdzonych informacji do lipca 1942 r. 125 tysięcy osób przeszło oboz. W ciągu całego czasu istnienia obozu niespełna 7 tysięcy osób zostało uwolnionych w tej liczbie 12 osób uratowało się ucieczką, lub przeniesionych do innych obozów.

W lipcu r. b. w obozie pozostawało żywych 24 tysięcy mężczyzn i kobiet, zginęło więc w kaźni oświęcimskiej 94 tysięcy ludzi.

Prócz obozu oświęcimskiego istnieje cały szereg obozów, założonych nieco później; w Treblince, Bełżcu, a w ostatnim roku w każdym niemal okręgu administracyjnym. Życie w tych obozach jest równym piekłem jak w Oświęcimiu. Tu jednak metody okrucieństwa zostały doprowadzone do najwyższego szczytu i stosowane w całej swej różnorodności.

Dość długo tajnia zupełna kryła mękę Oświęcimia. Kto wpa-
dał w jego matnię — ten zabierał okrutne dzieje swych ostatnich
kroków ziemskich bezpowrotnie. Początkowo zjawiały się jeszcze
listy, obce i skąpe, bo pisaną przepisowo po niemiecku i niemiecką
ręką obcinane, póki prócz urzędowych słów „ich bin gesund” nie
zawierały żadnej prawie treści; potem zazwyczaj przychodziły do-
bitniejsze znaki: ubranie, na nic już nie przydatne doniedawnemu
jego właścicielowi, zawiadomienie oficjalne o dacie jego śmierci
i zapytanie czy rodzina życzy sobie odebrać prochy zmarłego.
Nieraz od chwili otrzymania własnoręcznie wypisanego świadec-
twa „ich bin gesund” do chwili nadejścia zawiadomienia o śmierci
upływało zaledwie kilka dni. Nieraz wielomiesięczna cisza wy-
pełniała lukę między złudną otuchą ukochaną własną ręką, żywą
ręką nakreślonych liter a przerażającą prawdą zawartą w małej
kieszeni skrzynki prochów.

W nienawidzonym „Kurierze Warszawskim” zjawiać się zaczę-
ły między zwykłymi osobliwe nekrologi: „Nabożeństwo żałobne
za duszę zmarłego odbędzie się jutro, o dniu pogrzebu nastąpi za-
wiadomienie po nadejściu drogiego prochów”.

Nieraz cała szpalta piśmiidła, które pod osłoną powagi śmieleni
mogło być użyte jako pośrednik wieszczący poufnie zakończenie
jakichś mąk w Oświęcimiu, czerniała pod rząd dziwnymi klep-
sydami. Ale tak powściągliwa wymowa zdała się być zbyt wyraź-
nym zdradzaniem tajemnicy Oświęcimskiej: wprowadzono zakaz
umieszczania zbyt przejrzystych zawiadomień. Odtąd już wyraz
„prochy” przestał ukazywać się w nekrologach: podawały one je-
dynie termin śmierci dziwnie dawny w zestawieniu z bieżącą datą
pisma. I tylko z niewinnych danych, że rodzina zawiadamia o

śmierci kogoś najukochańszego z niepojętą opieszałością można było odcyfrować, gdzie zmarły zakończył życie.

Zbrodnię swą chciał okupant całkowicie ukryć. Ale zaczęły jednak przenikać wieści z Oświęcimia. Z początku głucho pogłoski, potem coraz bardziej konkretne wieści, wreszcie tajemnica obozu śmierci została odsłonięta. Ukazało się już nawet kilka publikacyj, zawierających fragmenty tragedii oświęcimskiej. Dodajemy dziś do nich zebrane przez nas materiały. Wciąż jeszcze szeroki ogół naszego społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy czym jest Oświęcim. I my tutaj i cały świat muszą mieć możliwie pełny obraz.

Autor skrupulatnie sprawdzał każdy podany szczegół. Unikał starannie jaskrawych barw, a nawet silniejszych wrażeń, chcąc, by same fakty mówiły. Ujawniła się w ten sposób okrutna prawda obozowego życia, prawda rozszalałego sadyzmu, obmyślonej we wszystkich szczegółach tortury, system zrationalizowanego okrucieństwa, który w swych trybach miażdży ciało i dusze ludzkie.

Bodaj najstraszniejszym obrazem, jaki wyłania się z tych kart jest osiągnięcie przez system obozowy w wielu wypadkach zniszczenia w człowieku wszelkiej więzi społecznej i sprowadzenie jego życia duchowego do przepojonego lękiem jedyne go pragnienia: o dzień, o godzinę choćby przedłużyć istnienie. Te karty pozostaną najstraszniejszym bodaj oskarżeniem systemu, który stworzył Oświęcim.

Okrutna jest ta prawda, może powstanie wątpliwość, czy trzeba uświadamiać ją społeczeństwu. Sądzimy, że tak. Wiemy, że walczymy o samo istnienie naszego narodu. Musimy mieć pełną świadomość, czym jest nasz wróg a istotę jego wyraża w całej pełni Oświęcim.

1. Łapanki.

U wylotu jednej z ulic warszawskich przystały dwa ciężkie auta, rzucając złowrogi cień wzdłuż milczących kamienic. Zatrzymujące się auto — o ile służbowe miejskie, czy firmowe polskie — zawsze budzi lęk. Bo to zazwyczaj albo Gestapo albo żandarmeria przystępuje do codziennych czynności. Tym razem jednak widocznie omyłka: zwyczajnie coś się zepsuło w motorze. Z wielkiego pudła wozu wyskakuje jakiś bliżej nieokreślony cywil, w rękę ma niewinne narzędzia do naprawy maszyny. Kolega z sąsiedniego wozu wybiega uczynnie, by pomóc w reparacji.

W tem obaj szoferzy zaprzestają majstrowania przy maszynie, która jest tak samo zresztą, jak i była przed chwilą w zupełnej sprawności. Wozy błyskawicznie stają w poprzek jezdni, zupełnie nieprzepisowo tarasując wylot ulicy. Zamykają ją szczelnie, gdyż lukę między samochodami wypełniają wysypujący się z ich wnętrza umundurowani, uzbrojeni Niemcy. Ogarniają poządlwym wzrokiem, jak myśliwi zwierzynę, biegnącą nieprzytomnie gromadę ludzi. Ludzie uciekają z łóżysk sąsiedniej ulicy, którą przecięła u jej źródła przy placu inna, w równie podstępny sposób zbudowana tama. Znaleźli się w jednej z pułapek, których setki zastawili Niemcy tego dnia w Warszawie: na głównych arteriach miasta i mniejszych ich rozgałęzieniach, w szerokich alejach i wąziutkich zaułkach, w śródmieściu, na Woli, Mokotowie, Żoliborzu... we wszystkich krańcach i w samym sercu miasta.

Tramwaje natłoczone podwójnie, wydawały się bowiem przed chwilą jeszcze bezpiecznym schronieniem, zatrzymano, otoczono. Wyglądają teraz jak mniejsze potrzaski, uwieńczone w gigantycz-

nym sidle ulicznym. Już grasują po czerwonych klatkach tramwajowych zielonawo-szarzy myśliwi: wyciągają mężczyzn i wloką pod mur pobliskiej kamienicy, gdzie stłoczono w oka mgnieniu dziesiątki, setki przerażonych, nic nie rozumiejących przechodniów. Nie wiadomo jeszcze jaki cel ma dzisiejsze polowanie na ulicach Warszawy, czy to chodzi o siłę mięśni polskich, by ją wnieść w okupacyjnym wianie gospodarstwu rolnym czy fabrykom Heimatu, czy też urządzono wymyślne zasadzki, by usidlić, przetrzebić poprostu, wciąż żywą jeszcze siłę narodową polską.

W oczach złapanych ludzi trzepocze się niepokój, bo przecież naraz zostali oderwani od swych codziennych zajęć, odsunięci od źródła radości i serdecznych trosk o najbliższych; w oczach ludzi postawionych nagle pod murem kamienic rodzimego miasta pełga nadzieja, bo przecież chodzi tu zapewne o jakieś dorywcze roboty w koszarach czy podmiejskich fortyfikacjach, co za parę godzin, czy dzień pozwolą wrócić do domu; w oczach ludzi zagarniętych potworną łapą najeźdźcy iskrzy się postanowienie odzyskania wolności, bo przecież musi się nadarzyć możliwość ucieczki!

Nie wiedzą jeszcze ci, w pierwszej partii upolowanych w sierpniowy ranek 1940 roku na ulicach Warszawy — że przeznaczeni są na łup Oświęcimia, że mają powiększyć kadry niedostatecznie licznych jeszcze „kolonistów“ obozu, że wracać z niego będą masowo, choć nie jednego dnia, jako przesyłka urzędowa zawierająca garść prochów.

Tymczasem olbrzymi łup, kilkunastotysięcznogłowe trofeum ludzkie ładują Niemcy do ciężarowych aut i odwożą w stronę Praги. Warkotom naładowanych wozów towarzyszą bolesne i mściwe zarazem westchnienia tych, co ominęli szczęśliwie sidła: przeważnie kobiet i dzieci. A gdy odprowadzają przerażonymi oczyma wydartę przed chwilą miastu ofiary, widzą jeszcze lot maleńkich papierków, sfruwających ukośnie na jezdnię z jęczącego auta. To kartki rzucone ukradkiem rękami więźniów z nakreślonymi na przód słowami „złapali mnie na ulicy“ i wskazówką, gdzie mają być doręczone. Tak bronią się porwani przed bezimiennym zaginięciem.

Kartki opadają na ziemię. Zbierają je z nabożną troskliwością ludzie zostawieni na wolności i odnoszą według przeznaczenia: rodzin lub przyjaciół ludzi, upolowanych dzisiaj w dżungli wielkiego miasta.

W rozległym fabrycznym gmachu na Skaryszewskiej można próbować uwolnić się z sideł. Urzęduje tam jakiś mundur, jakaś szarża która nie wyjaśnia, za co i poco porwano w biały dzień zwykłego przechodnia jak przestępcę, ale przegląda podawane drżącymi rękoma dokumenty i wyrokuje: puścić — zatrzymać. W nielicznych wypadkach papier ma moc przywrócenia wolności; zdarzyło się, że porwano motorniczego tramwaju, pracownika gazowni, czy szpitala. Wolni!

O zatrzymaniu natomiast rozstrzyga wiek — przeważnie młody lub dojrzały, wygląd — raczej dziarski i żywotny, wreszcie wszechpotężne widzimisię gospodarzy polowania.

Dzień jest pogodny, ciepły. Któż wychodząc podczas takiej pogody na kilka godzin do biura, fabryki, szkoły, na chwilę po paczkę papierosów, po lekarstwo z pobliskiej apteki, czy do telefonu w narożnej cukierni ubiera się ciepło, zaopatruje się w sweter, płaszcz, żywność, pieniądze.

Wieczór przynosi zwykle ochłodzenie, noc przejmuje dresz-

czem prawie wszystkich więzionych, nie mających na sobie często-
króć nawet marynarki i oszczędzających — wojenną modą — skar-
petek. Konfrontowanie ludzi z ich przeważnie bezużytecznymi
papierami trwa długo, przenosi się na dzień następny. Noc ofiaro-
wuje w darze bezsenne czuwanie na podłodze fabrycznej; dni
pierwszy i drugi — zamraczające myśl pragnienie i niecierpliwy,
podhodowany już poprzednio na namiastkach głód.

Dalsze wyczekiwanie na ukończenie łowów i na doprowadzenie
ofiar łapanek do oznaczonej z góry liczby odbywa się na niezupeł-
nie gołej, bo zanieczyszczonej nawozem końskim ziemi ujeżdżał-
ni na Łazienkowskiej. Wreszcie po niezliczonych godzinach spę-
dzonych bez snu, wody, żywności, ładują Niemcy uwięzionych do
samochodów, odwożą na dworzec i wrzucają do szczelnie zaraz za-
mykanych wozów bydłych.

* * *

Łagodnym imieniem „łapanek”, brzmiącej jak nazwa beztro-
skiej zabawy dziecięcej, ochrzczono u nas owo bezprzykładne po-
rywanie niewinnych — nawet w oczach samych prześladowców —
ludzi z ulic, tramwajów, pociągów, kawiarni, wreszcie domów.
Ale właśnie może poprzez lekkość słowa przebija twarda nieustępli-
wość, zuchwały hart polski, kpiący z wroga nawet w obliczu tak
straszhliwych nierównych zapasów.

W następnym zaraz miesiącu, zaledwie stolica ochłoneła tro-
chę po dzikim polowaniu na ludzi, odbyła się druga, na olbrzymią
skalę zakrojona „łapanka” upamiętniona mianem „wrześniowej”,
której ofiarą padły Żoliborz, Kolonia Lubeckiego i Wola, otoczo-
ne lasem karabinów maszynowych i zwartym rojem uzbrojonych
naganiaczy. Już nie tylko otwarta ulica, ale własny zamknięty
dom przestał być schronieniem: ludzi wywlekano z mieszkań, za-
bierano z miejsc pracy.

Okrutnym echem rozbrzmiewają „łapanek” na lubelszczyźnie,
w radomskim, kieleckim: rozsiewają się w przestrzeni, ogarnia-
jąc cały znękany bezmiernie, wysysany z żywych sił Kraj; rozta-
czają się w czasie, znacząc to coraz inne kartki kalendarzowe no-
wością upiornych dat.

2. Znaki życia.

Tuż u granic wielkiej Warszawy, tam gdzie rozchylają się pod
coraz większym kątem tory kolejowe, w pobliżu szyn leży niewiel-
ki młotek, zgubiony na odludziu, może nie bardzo zdalny do użyt-
ku gdyż trzonek jego owinięty jest mocno szpagatem, ściągają-
cym pęknięcie, które biegnie wzdłuż całej długości.

Po pracy w nocnej zmianie wraca do domu stary robotnik.
Jest zmęczony, skróci więc sobie drogę przecinając tory.

Nie warto się nawet schylać — myśli, gdy oczom jego nasuwa
się obraz leżącego bezużytecznie młotka.

Alie przemocowany na końcu sznurka kolorowy papierek prze-
łamuje niechęć do starego grata, budzi nawet iskierkę zaintere-
sowania. Robotnik schyla się, podnosi pęknięty, zmocowany szpa-
gatem młotek. Zwinięty w rulonik kolorowy papierek — zabawa-
na rzecz — jest prawdziwą pięciozłotówką, która po rozprosto-
waniu ukazuje kilka jeszcze wsuniętych w nią banknotów.
Wszystkie razem tworzą sumę 30 złotych. Robotnik przygląda
się uważnie banknotom: są nieco zroszone, mocno zmięte, ale
prawdziwe, niefałszowane.

Zabawny żart: Przecież niewiele brakowało żeby wyminał

obojętnie zepsuty młotek wraz z pieniędzmi, co to istotnie mogą poprostu leżeć na drodze. Dziwne to wszystko i chyba coś musi znaczyć. Robotnik obraca młotek na wszystkie strony, wreszcie jak gdyby coś zrozumiał: trzonek nie pękł sam, został rozmyślnie rozłupany.

Odwija gorączkowo spiralę szpagatu, uwalnia drzewo z objęć żelaza. Trzonek rozchyła się gwałtownie. Z wydrążonych świeżo ścianek wysypują się małeńkie papierowe ruloniki. Stary robotnik rozwija jeden z nich i czyta:

„Błagamy znalazcę o natychmiastowe doręczenie załączonych kartek według podanych adresów. Jesteśmy złapani wczoraj na ulicach Warszawy. Obecnie wiozą nas, nie wiemy dokąd. Załączamy 30 złotych na kosztą przejazdów. Młotek wyrzucamy przez otwór wagonu. Błagamy o pośpiech.”

Robotnik nie śpieszy już do domu. Siada na wale i układa pośpiesznie kartki. Tu Praga, tu Powiśle, okolica Mokotowa, Żoliborz. Robi to sprawnie niby doświadczony pocztowiec. Poczem nie zwłócząc ani chwili, zawraca w stronę miasta, siada do tramwaju i rozpoczyna swą misję osobliwego listonosza. Zjawia się w różnych mieszkaniach — wielookiennych pokojach, podniebnych klitkach, przyziemnych izbach, gdzie wszędzie jednaki rozgościł się niepokój, przybywa jako zwiastun — nie wiadomo — życia, czy śmierci, bo choć znak od żyjącego jeszcze przynosi, ten zdąża może do bram Cświęcimia.

Wielu z pośród powiadomionych chce pomóc zmęczonemu, w dalszym roznoszeniu straszliwej nowiny. Ale stary człowiek upiera się, że musi wszystkie kartki doręczyć osobiście. Przecież to w jego ręce los złożył młotek o trzaśniętym trzonie.

Aleję Szucha — główne legowisko Gestapo — oblegają tłumy: są tam i ci, których dobiegły jeszcze na ulicy rzucone kartki, i ci, których odwiedził znalazca wydrążonego młotka, i ci wreszcie, co bez słów wyjaśnienia zdołali sami zrozumieć ponurą wymowę przedłużającej się nieobecności domownika.

Ale Gestapo nie udziela żadnych informacji. „Proszę przyjść za dwa tygodnie, za miesiąc”. Poczta oświęcimska będzie nieraz uczynniejsza, udzieli wiadomości pod postacią listu od Schutzhäftlinga numer taki a taki.

3. W drodze.

Tym samym gorączkowym ruchem, jakim stary robotnik rozkręcał na wale kolejowym trzonek młotka z powijków szpagatu, opłatywały go poprzedniego dnia rozdygotane ręce stolarza, jego właściciela, a sto par oczu współtowarzyszy podróży z niepokojem i nadzieją śledziło każde okręcenie sznurka.

Łapanka ogarnęła stolarza w chwili gdy szedł ulicami Powiśla ze skrzynką swych narzędzi pod pachą.

„Komm, Komm” — wyrosłego z za węgla Niemca i groźny mawne karabinem przerywa codzienną marszrutę. Silne pchnięcie kolby wtłacza stolarza do zaludnionego już samochodu.

Dobry majster zawsze dba o swe narzędzia. Stolarz przyciska mocno swą skrzynkę do boku. Nie rozstaje się z nią ani na Skaryszewskiej, ani w Ujeżdżalni. I teraz, gdy wraz z dwustu innymi zamknięto go w półciemnym wagonie kolejowym, sprawdza odruchowo, czy nic złego nie przytrafiło się narzędziom.

Mało komu udało się dotychczas przemyścić wiadomość do rodziny. Nie wiadomo też, czy rzucone na ulicy kartki trafiły do

odpowiedzialnych rąk, czy dotarły na miejsce przeznaczenia. Małeńkie szparki żaluzji wentylatorów tuż pod dachem wagonu przepuszczają nikłą smużkę światła, przesącza się przez nie zaledwie odrobina powietrza, nie sposób jednak przecisnąć tamte dy kartki papieru. I oto nie wiadomo w której z zamroczonych wypadkami głów rodzi się pomysł zużytkowania stolarzowej skrzynki. Znajduje się między innymi świder do borowania otworów w drzewie, młotek. Za chwilę gdy pociąg rusza i nikogo na straży nie ma w wagonie w podłodze pojawia się otwór, zwiększający się za każdym obrotem żądla boru. Już jest dostatecznie duży, by przesunęło się przezeń inne narzędzie ze skrzynki. Niby rozbitkowie na bezludnej wyspie, co powierzają wieść o swym strasliwym losie rzuconej do morza butli, porwani na ulicach milionowego miasta ludzie wysuwają przez wywiercony otwór swe żałosne SOS ukryte w otworze młotka.

Pociąg sunie leniwie. Ociężały, rozwlekły rytm kół świadczy, iż lokomotywa ciężko pracuje, że wlecze conajmniej kilkadziesiąt naładowanych wagonów. W każdym znajduje się po 100 — 120 ludzi. Już żaden z nich nie szczeka zębami jak ubiegłej nocy. Przeciwnie wszystkim jest gorąco. Spocone ciała przylegają szczelnie do siebie. Znikąd nie można się spodziewać najmniejszego podmuchu. W bydlęcych wagonach nie ma okien, drzwi zaś są mocno zaryglowane od zewnątrz. Trudno też wciąż stać bez możliwości oparcia, w bydlęcym wagonie nie ma przecież ławek. Po chwilach podniecenia przy przewożeniu na dworzec, ładowaniu do wagonów, gdy jednostajność ruchu pociągu uświadamia, iż w ciągu wielu pewnie godzin nie się w sytuacji nie zmieni — zaczyna nękać pragnienie, widok przejeżdżających stacji przypomina zastawione bufety i roznoszoną przez chłopców lemoniadę.

Nieznosne pragnienie usiłuje zagłuszyć udręka głodu. Od wyjścia z domu — kiedy to było? upłynęło 48 godzin. Samego napięcia nerwów nie wystarcza już, by zapomnieć, że chce się straszliwie pić, że niewypełnione kiszki skręcają się niesamowicie.

Dokuczliwym jest niezmiernie wrażenie braku w ciele, ale jakże nieznośne w tych warunkach daje się we znaki poczucie nadmiaru. W wagonach bydlęcych nie ma ubikacji dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Ludzie muszą radzić sobie — jak bydlęta. Po długich godzinach drogi kątek podłogi wagonu pokrywają cuchnące ekskrymenty i kałuże moczu. Robi się coraz bardziej gorąco i coraz okrutniej duszno. Niekażde płuca potrafią oszczędnie zużywać mikroskopijne dawki powietrza, niekażde serce radzi sobie w ohydny zaduchu. Zanim ładunek ludzki przybędzie wreszcie na stację przeznaczenia, po kilka osób w każdej niemal cuchnącej skrzyni wagonu straci przytomność. Cucić ich niepodobna, w wagonie bydlęcym bowiem nie ma okien, drzwi zawarto rygłem zamku, widniejące zaś pod sufitem szpary wentylatorów przesączaają aptekarskie dozy powietrza.

Godziny, czy dnie podróży — trudno poddać mierze czas wypełniony jednostajną udręką — wloką się jak niedobry sen, który wola nie potrafi przerwać. Przebudzeniem z koszmaru będzie rozwarcie ciężkich drzwi i wyjście na powietrze. Tymczasem trzeba poddać się ospałemu klekotowi kół i starać się nie myśleć, nie czuć, nie wspominać i nie przewidywać. W bezruchu upiornej ciasnoty wagonowej można tylko trwać.

Naraz pociąg przystaje. Przystaje nie na stacji. Zatrzymuje

się w pustyni, bezludnym polu, obrzeżonym rzadkim pasem krzaków. To w końcowym trzonie wielowagonowego pociągu trzem ludziom udało się przerwać obiedny sen. Zdołali rozwalić ciężkie drzwi podczas biegu pociągu, nabrali do płuc ostrego powietrza i zamroczeni nim, jak pijani szaleńcy ważyli się rozpocząć ucieczkę. Lokomotywa dyszy coraz wolniej, ustaje buczenie kół. Ciszę sennego pola zamąca inny odłos: trzykrotna salwa karabinowa. Trzech więźniów kończy rozpoczętą ucieczkę w pobliskich krzakach, ale już nie w pozycji biegnącej: przygwożdżone kulami eskortujących żandarmów ciała ich rozpościerają się płasko na dalekich błoniach zamiejskich. Pociąg nie rusza jednak dalej. Stoi jeszcze godzinę. Czasu tego wystarczy by żandarmi dobiegli do pobliskiej wioski, porwali z chat trzech chłopów, popędzili ich w stronę toru i wsadzili do tego samego wagonu, skąd dopiero co ruszyło po wolność trzech śmiałków. Złapani we wsi chłopcy dopełniają brak w okrągłej liczbie ofiar przeznaczonych na żer Oświecimia.

Lokomotywa westchnęła głośno raz, drugi, trzeci. Ruszyła. Ciągnie dalej swój ciężki wyrównany ładunek.

4. Gimnastyka.

Partia przywiezionych dzisiaj do obozu ludzi dygoce z zima — dziwnie dżdżysta, ponura jest druga połowa tegorocznego podgórskiego sierpnia. Chęć snu lub bodajby ułożenia ciała w poziomej pozycji walczy o pierwszeństwo z mdłym poczuciem głodu — po dwóch dniach podróży w nieprawdopodobnej ciasnocie bydlęcego wagonu organizmy domagają się najskromniejszego odwetu: wiązki słomy i kawałka chleba. Ale zarządzenie władzy obozowej nakazuje dla nowoprzybyłych parogodzinną gimnastykę. Dozorcy wołają: „Biegiem! Biegiem!”

Bieg jednokierunkowy wokół wyźwirowanego dziedzińca, szybki i jednostajny. Pierwsze okrażenie rozgrzewa wprawdzie bose stopy, ale przy drugim zaczynają one piec, trzecie nasuwa kapryśne wyobrażenie błogiej zieleni trawy lub pary butów. Pieczenie przemienia się w wyraźny ból. Ostra wyźwirowana powierzchnia praży, jakgdyby stanowiła przykrywę jakiegoś olbrzymiego, rozpalonego pieca. „Biegiem, biegiem”. Początkowo szturchańce zadane ręką dozorcę pobudzają do następnych okrażeń, potem uderzenie tęgim kijem wymusza dalszy bieg w koło. Każde zetknięcie (a jest ich 150 na minutę) bosych stóp z ostrym zwirem parzy, kłuje, gryzie. Oczy wypatrują bezskutecznie gładszych wysepek na kamienistym morzu dziedzińca. Zresztą nie wolno wysuwać się z szeregu. Właśnie jednemu z biegnących, który nieostrożnie wykroczył nazewnątrz koliska, dozorca podstawił nogę: przewrócony więzień leży małąką chwilkę, w następnej już kij oprawcy zrywa go na równe, uginające się z bólu nogi.

Tam znów któryś — chyba najstarszy wiekiem w przybyłej partii zwolnił tempo, wygląda jakby chciał przerwać na chwilę ten obłąkany bieg, oderwać bose stopy od coraz straszliwszego natarcia bezlitosnych, kamienistych bryłek. Wściekłe walenie kijem po plecach nadrabia stracony czas: więzień biegnie dalej. Serce wali, wprawiając w dodatkowy stukot jeszcze jakieś młoteczki w skroniach, oczach, szyi. A nogi zdają się obrastać jakimś zbitymi poduszkami, otaczać twardymi wałkami, których

każde zetknięcie się ze żwirem wywołuje tysiące ukłuć rozpалonych igiełek.

Wreszcie bezlitosne kamyki zaczynają się odmieniać: oto zaróżowiły się zlekką: brunatną, wyżłobioną biegiem ścieżkę podwórza obozowego barwią już krople krwi, spływające z pędzących i popędzanych bezustanku nagich stóp.

Od tej chwili żwir i nogi upadabniają się wzajem coraz bardziej — brunatną surowość kamienia ożywia purpura krwi ludzkiej, blada różowość skóry dojrzewa powoli do czerwieni...

Bieg wciąż w jednym kierunku trwa nadal, całe już ciało rozciąga się niezliczoną ilością pulsujących młoteczków, oddech nie darzy zwykłą bezwiedną rozkoszą, zda się być raczej bolesnym wbijaniem długiego ostrza w piersi. Ażeby przestać wbijać to ostrze, trzeba zaprzestać poruszania nogami; zresztą nie wiadomo już, czy to wświdrowujące się w stopy ukłucia sztyletują powietrzem klatkę piersiową, czy też odwrotnie okrutny ból piersi rozpryskuje się w tysiące szpilek, przebijających stopy.

Niekiedy dla niektórych przychodzi chwila ukojenia. Z przed oczu nikną gładkie i śpiczaste główki kamieni, milknie rozciągnięty dzwon serca, cichną młoteczki pulsu: biegnący zemdlął. Wówczas na szlaku setek krwawych bosych stóp zjawia się jedna para tego obuta. Dozorca zbliża się do zemdlonego i ciężkim buciorem, który sprostaby oporowi żelaza nie tylko kamieni, naciska pierś leżącego bez przytomności więźnia. Jeśli ten zabieg nie skutkuje, wlecze omdlałego pod pompę i polewa strumieniem lodowatej wody.

Jest jeszcze jeden sposób haniebnie dziki, stworzony w niemieckiej szkole sadystów, zemdlonemu przywraca się przytomność przez włożenie drążka do otwartych przemocą ust i wprawienie go następnie dłonią w ruch obrotowy.

Jednorazowe czy nawet parokrotne omdlenie nie zabezpiecza przed dalszą torturą; trzeba biegać dalej krwawiącymi stopami po purpurowym miejscami żwirze.

Wreszcie zarządono nowe ćwiczenie: obrót w kółko, dokoła osi własnego ciała. Wirują w podwójnym wirze twarze kolegów, tańczą czerwone bloki baraków, szum w głowie przybiera kolisty kształt i mdły posmak. Przy tym ćwiczeniu utrata przytomności przychodzi szybciej, częściej zostaje przywracana, więcej pracują buciska dozorców, głośniejsze skrzypią pompy, gęstsze wydobywają się jęki z przemocą otwieranych drążkiem ust ludzkich.

Na zakończenie „ćwiczeń gimnastycznych” inne odmienne, bardzo spokojne, nie męczące głów, nie mające nic wspólnego z kołem. Proste na pionowej linii oparte. Oto szereg obleczonego w niebiesko-białe dreluchy ciał męskich przykucnął i zastygł na komendę w bezruchu. Ćwiczenie polega na wytrzymaniu w przysiadzie. Naprężone do ostateczności poprzednim biegiem nogi dygocą, poraniona skóra pod palcami nie wytrzymuje już nacisku całego ciała, kolana zaczynają drżeć. Dozorcy ryczą ze śmiechu; istotnie jakżeż to szatańsko groteskowy widok: te trzęsące się nogi z pochylonymi nad nimi pobladłymi z bólu, zdumienia i wściekłości twarzami. Walnięcie kijem po niesfornych, wibrujących febrycznie kolanach, przywołuje do porządku ćwiczących. Spokój! Wytrzymać w przysiadzie! Jeszcze kilka wolnych przysiadów i proporcjonalna ilość omdleń. Oddział udaje się na obiad, znacząc krwawo drogę po stopniach schodów baraku.

Opatrzeć nóg nie ma czym. Na sobie i przy sobie więźniowie

mają tylko dreluchy. Tych podrzeć na pasy nie można. Któryś znalazł kawałek papieru, posługuje się nim jak bandażem. Ale krew szybko przemacza papier i sączy się dalej.

Przy jutrzejszych ćwiczeniach pęknięcia stóp pogłębią się, pojutrze zaczną ropnieć. Bardziej pomysłowi — szczęściarze zmagają się w następnych dniach coś w rodzaju sandałów ze znalezionych cudem złamków deseczek, skrawków tektury, kawałków sznurka. Ale rany już się nie zagoją, będą nadal ropiały; nieczyste ślady będą znaczyły kroki więźnia aż do końca jego dni oświęcimskich, staną się tylko mniej widoczne, ropa ma bowiem odcień brunatno-szary, jak żwir rzeczny.

5. Psy.

Niemcy lubią popisywać się swym sentymentem dla zwierząt. Zwłaszcza psy darzą osobliwym przywiązaniem. Przy rekwizycjach na wsiach nigdy prawie nie omieszkają poklepać obcego, kudłatego Burka, lub nawet poczęstować go zgrabioną gospodarką słoniną; ta sama ręka, która przeszła dopiero co bagnietem nieszczęsnego handlarza, co przynosił z za Buga woreczek żyta, czy ćwiartkę kartofli, głaszcze po chwili z lubością swego ulubionego psa, pomocnika w przygranicznych obławach. Jest kilka takich psich pieszczołów i w Oświęcimiu. Jeden — śliczne wielkie wilczysko zażywa codziennie ze swym panem przechadzki na przestrzeni, zawartej pomiędzy odrutowaniami głównego obozu a zabudowaniami gospodarskimi. Właściciel pięknego psa może poszczycić się urodą. Jest młody, zgrabny, bardzo mu do twarzy w obcisłym, doskonale zaprasowanym mundurze ss-mana. Różowe, jasne oblicze zdobi zazwyczaj uśmiech, który śmiało należy nazwać przyjemnym. Zwierzę jest doskonale wytresowane, czuje na każdy rozkaz. Chodzi posłusznie przy nodze pana, skacze wysoko, gdy pan da odpowiedni znak ręką, aportuje.

Pomiędzy drucianymi ogrodzeniami w pewnych godzinach wzrasta ruch: oddziały więźniów odmaszerowują do pracy daleko poza obóz, wracają inni, niektórzy znów pracują przy zabudowaniach gospodarskich — stajniach, oborach, królikarniach, w magazynach. Codziennie też z głównej bramy o jakiejś godzinie wytacza się popychany przez więźniów wóz z trumnami; to odwożą do pobliskiego krematorium świeżo zmarłych więźniów. Po pewnym czasie wóz toczy się w odwrotnym kierunku: puste już trumny jadą po nowy towar.

Zarówno pies jak i pan śledzą uważnym wzrokiem codzienne widoki obozowe, ale podczas, gdy pierwszy zdaje się poprzestać na zwykłej sumie wrażeń, przystojnego ss-mana o sympatycznym uśmiechu najwidoczniej nuży ich jednostajność. Ucieka się do wymyślniejszej zabawy z psem ulubieńcem.

Upatrzył cel: jakiś starszy więzień niesie wiadro z wodą, wiadro ciąży mu widocznie, gdyż idzie zwykłym krokiem, nie usiłując nawet demonstrować żądanej tutaj gorączkowości pośpiechu. Wiadro z wodą waży 10 kg, więzień zaś 45. Stosunek jeden do czterech i pół. Przed dwoma miesiącami jeszcze, a było to tuż przed przybyciem do obozu, stosunek ten wynosił jeden do siedmiu. Zmieniła się oczywiście nie waga kubła z wodą, tylko człowieka. Więc właśnie te brakujące dwadzieścia pięć kilogramów żywej wagi ludzkiej nie pozwalają więźniowi na brawurowy marsz pod pilnującym wzrokiem władzy.

Miękkim choć stanowczym głosem, pan rzuca psu jakiś rozkaz.

Trudno zrozumieć dokładnie niemiecką komendę: przełożoną na polski — nazywa się poprostu szczuciem. Pies biegnie szalonym pędem w kierunku więźnia, rzuca się na niego całym ciężarem swego doskonale odżywionego cielska, wpija zęby w udo człowieka i czeka dalszych rozkazów. Wiadro wypada z rąk napastowanego, ręce instynktownie unoszą się dla osłonięcia głowy, z otwartych ust wyrывa się okrzyk przerażenia. Usta przystojnego ss-mana układają się we właściwy mu sympatyczny uśmiech, poczem odwołują psa. Grzeczne wilczysko ciska ofiarę i wraca posłusznie. Ręka Niemca pieszczotliwym poklepywaniem po psim łbie daje wyraz dobrym uczuciom, jakie żywi pan dla czworonogiego przyjaciela.

W ciągu dnia porucznik kilkakrotnie sprawdza inteligencję swego psa na przechodzących w polu jego widzenia więźniach. A rany szarpane, bolesne rany zadane białymi, lśniącoymi zębami doskonale utrzymanego czystego psa nie chcą się potem goić, ślimaczają się tygodniami, miesiącami, jak każde zresztą najbłahsze nawet zadraśnięcie. W Oświęcimiu rany się nie goją.

* * *

Podczas wielkiej ulewy zatkał się kanał odpływowy. Podwórze obozowe zalała woda. Trzeba ją było wyczerpać wiadrami z zatamowanego kanału i zlać do innego wolnego rowu. Do pracy tej przeznaczono około dwudziestu więźniów. Wchodzą raźnie, szybko niemal w podskokach do wody. Rzeźkości tych ruchów nie wywołuje bynajmniej niska temperatura wody. Na górnych stopniach schodów barakowych stoi kilku ss-manów. Ale nie ich tylko ciężkie, wyczekujące, kpiarskie spojrzenie wykrzesza z więźniów dziarskość. Jeszcze cztery inne zwierzęce źrenice śledzą ruchy pracujących. Dwa psy wilczury przykuwały na stopniach.

Można być zanurzonym po kolana w zimnej wodzie i mieć ciało złane potem. Dozorującym pracę ss-manom jest raczej chłódno. I nudno. Ale nic tak nie bawi, jak śledzenie na kimś rozwoju lęku. Od pierwszego dreszczyku niepokoju aż do nieprzytomnego skurczu przerażenia. Psy znają już tę zabawę. Oto na dany znak dają susa przez schody w dół, wskakują zanurzonym w wodzie więźniom na plecy, chwytają rozwartą paszczą za kark. Na sekundę przed utopieniem mocnych swoich zębów w zwiotczale mięśnie szyi, wychylającej się żałośnie z ponad biało-niebieskich drelichów więziennych rozweselone bestje ludzkie dają hasło odwrotu. Psy zeskakują ze znieruchomiałych odrętwiałych postaci ludzkich, biegną do panów na pochwałę. Podnieconym szczeniem proszą o powtórzenie fascynującej zabawy. Zresztą ani psy ani ludzie, zanurzeni w wodzie nie wiedzą, czy za każdym razem zostanie ona przerwana w chwili, gdy dojdzie do szczytowego punktu: czy kły przetną skórę ludzką, dojdą do mięśni, dowiecą do ciepłej krwi?

Ten moment, aby mógł zachować pełnię grozy — musi być „obstawiony” prawdziwie. Rozkaz napaści wydany jest ostro — psy ciskają się jak furie. Ludzie w wodzie dosłownie zamierają ze strachu. Bledną, drętwieją. Wymęczone, wychudłe ciała uginają się pod ciężarem wypasionych psich cielsk. Udelektowani widokiem ss-mani odwołują psy już nawpół żartobliwym głosem. Za chwilę wszystko się powtórzy: pies w najlepszej wierze rzuci się na znieruchomiałą w wodzie ofiarę, ta zaś odtworzy wspania-

łą pantominę grozy ze skurczem i waleniem okrutnym serca, obłądnym niepokojem w oczach, zzielenieniem twarzy, zaparciem oddechu.

6. Arbeit macht frei — Praca przywraca wolność.

Na bramie wjazdowej obozu widnieje wielki napis: „Arbeit macht frei” — Praca przywraca wolność. Z każdego miejsca obozu dostrzec można wysoki komin — ni to olbrzymiej fabryki — czerwony gigantyczny słup własnego oświęcimskiego krematorium. Między tymi dwoma punktami zamyka się życie więźnia, od chwili utraty wolności do chwili jej odzyskania, od pierwszego przekroczenia bramy wjazdowej obozu do wtłoczenia się w pudle trumiennym między podwoje krematorium.

Wielkie i skomplikowane jest już gospodarstwo Oświęcimia. Wielokilometrowym pasem otaczają obóz ziemie uprawne, z których wysiedlono miejscową ludność; niezliczona ilość budynków gospodarskich, warsztatów, sąsiaduje z barakami obozowymi; daleko poza granicami obozu, o dziesiątki kilometrów odeń znajdują się kopalnie węgla. I wszędzie, na ziemi, pod ziemią, w budynkach pracują więźniowie. Uprawiają pola, budują domy, dobywają węgla, ładują i rozładowują pociągi. Stwarzają dobra, których drobna część idzie na potrzeby obozu, resztę zaś pochłania wojsko.

Różne bywają sposoby organizacji pracy. Oświęcim wypracował sobie system własny, którego dewizą jest opętany pośpiech, celem zaś jak najczęstsze zastępowanie rąk roboczych nowymi siłami. Albowiem najważniejszym produktem w bogatym gospodarstwie Oświęcimia jest dym z kolumn krematorium. Bo Oświęcim — krótko mówiąc — to zakład likwidacji istnień ludzkich. Pracował do niedawna z szybkością pięćdziesięciu zgonów na dobę. Obecnie osiągnął wyższy stopień. Zdarzają się nawet dni, że olbrzymi komin nie może podjąć zadania i wówczas z pomocą przychodzi mu szpadle, wykopujące mogiły dla niespalonych ciał.

* * *

Godzina czwarta rano, dnieje. Zawieszony w pobliżu bramy gong dopiero za pół godziny zadzwieczy ranną pobudką. Ale w barakach już rozpoczyna się ruch. Więźniowie sami zrywają się z posłań, przed czasem, żeby zdążyć uprzątnąć sienniki, koce, naciągnąć ubranie, dopaść do zajętych wciąż ubikacji, plusnąć się wodą z kubłów, w których zanurzają się kolejno setki rąk. Prędzej, prędzej, żeby uniknąć kary za spóźnienie, zdążyć wychłępać z miski, jednej na trzech, swoją porcję kawy i wypaść na dziedziniec do porannego apelu.

Biegną zaraz potem do swoich komend roboczych, ustawiają się szeregiem: przydzieleni do pracy na „holzhofie” przy gongu, pracujący w betoniarni pod środkowym barakiem. Tu jadący do kopalni, tam zatrudnieni na polu. Szybko rozbiegają się więźniowie na oznaczone miejsca, tak szybko, jakgdyby śpieszyli się do pożaru. A przecież zdarzało się, zwłaszcza dawniej, gdy dopiero organizowano obóz, że jakiś oddział zwoził piach do dołu, z którego inna gromada więźniów przewoziła go z powrotem na miejsce, skąd został doarty. Było w wyniku nie próżnował wielki komin.

Przeliczeni dokładnie przy dźwiękach dziarskiego marsza or-

kiestry obozowej mijają bramę. Wstające słońce odprowadza wielotysięczną armię więźniów na codzienną torturę pośpiechu, zachodzące — towarzyszyć będzie przetrzebionym zastępom, uszczuplonym przez tych co padli w pracy.

Na rozległym placu wynurzającym się z pośród niwelowanych nierówności terenu, jedna za drugą posuwają się naładowane ziemią taczki. Pchają je pod górę postacie w pasiastych, workowatych ubraniach. Coś dziwnego uderza w tym prostym widoku. Bryła ziemi toczy się lekko, szybko, jakgdyby była poruszana siłą mocnej maszyny. Ruch martwego przedmiotu jest zwinny, nie kojarzący się z pojęciem wysiłku. Natomiast żywi ludzie przy taczkach nie tylko nie odpowiadają pojęciom sprawności, ale każdą częścią swego ciała stanowią jej przeciwstawienie. Ręce wparte spazmatycznie w drewniane ramiona taczki przypominają jakiś instrument muzyczny o luźno naciągniętych strunach; nieosłonięte warstwą tłuszczu, rozpięte nad wiotkimi mięśniami sterczą nabrzmiałe żyły. Przesadne pochylenie postaci świadczy nie o celowym zgięciu ciała dla oszczędzenia wysiłku, ale o bezmiernym znużeniu; oczy więcej niż do połowy przesłonięte powieką stać tylko na tak nikłe patrzenie. Zależność między posuwistą, chyżą taczka a jej żalosnym popychaczem reguluje dozorca. Raz po raz o łuk, pochylonego grzbietu uderza kij. Nie zwalniać! Prędzej! Trzeba pracować dziarsko z ciężko naładowaną taczka, jak na galowej rewii! Więzień mocuje się z odmawiającymi sprawności mięśniami. Byle tylko wytrzymać do miejsca, gdzie wyniosłość łagodnieje, przeradza się prawie w poziomą powierzchnię, byle przebrnąć jeszcze pięćdziesiąt kroków. Jeden, dwa, trzy, cztery... tam na równiejszej drodze będzie można wciągnąć powietrze, zwolnić nieco kurczowy chwyt rąk. Jeden, dwa, trzy... Taczka chwieje się na obydwu boki. Omdlałe ręce, sztywne, odrętwiałe nogi nie potrafią utrzymać ciężaru w równowadze. Bo siła to najbliższa siostra zręczności. Gdy pierwsza zamiera — rozwiewa się i druga. Dozorca nie wnika w te pokrewieństwa, szturcha wściekle winnego, pogania zgięte coraz niżej stado taczkarzy.

Ża godzinę i za dwie i za osiem nie ustanie pośpieszny ruch na równiejącym placu, na którym ma być zbudowana fabryka sztucznej gumy. I nie zwolni się tempo pracy, wytrwale podsycane kijami dozorców. Zmieni się tylko jedno — gatunek zmęczenia pracujących wciąż resztkami sił więźniów, wzrośnie do napięcia, które przekształci je w ból. Ból każdej części ciała oddzielnie, w piersiach i krzyżu, spotęgowany jeszcze osobliwie.

Ale pod koniec dnia z największą pewnością zahamuje się na chwilę raz albo i kilkakrotnie wyścig na wąskiej wyjeżdżonej drodze. Chwiejąca się taczka straci ostatecznie równowagę, gdyż przestaną ją podtrzymywać ręce ludzkie. Bryła ziemi z wywróconej skrzyni rozsypie się na drobniejsze grudy obok leżącego bezwładnie ciała. Nie podniosą go kije dozorczy. To człowiek któremu praca przywróciła wolność. Arbeit macht frei.

* * *

Dozorca melduje przy bramie: „Do podbierania kartofli idzie 150 ludzi”. Ss-man przyjmujący ten meldunek przelicza skrupulatnie szeregi i krzywi się ironicznie. Jakże to dziwaczny oddział udaje się na robotę. Nawet pierwszych jego kroków, stawianych w zaraniu dnia nie potrafi usprawnić ognisty marsz orkiestry. Więźniowie mają głowy opuszczone, spojrzenie mętne, jakgdyby nieprzytomne, ruchy niepewne. Gdy odmaszerowują z dziedziń-

ca obozowego na szosę przy dźwiękach muzyki, wyglądają, jak cienie płasające w jakimś niesamowitym somnambulicznym tańcu.

Przeznaczono ich do złej pracy. Lekka praca nie wymaga lepszego odżywienia, otrzymują więc odpowiednio „lekkie” zmniejszone normy żywnościowe. Ale nie tylko na skutek tego zaczęli zatracać ludzkie kształty; upodobniła ich do cieniów poprzednia katorga obozowa przy robotach ziemnych, wyładowywaniu wagonów z kopalni. Pomimo sutszego wówczas, ale oczywiście mniej niż dostatecznego odżywiania nic nie zdołało zahamować niesamowitego spadku wagi, po kilka kilogramów co kilka dni.

Parotygodniowe terminowanie w oddziałach ciężko pracujących przemieniło najmocniejszych chłopów w nędzne ochłapki.

Idą na kartoflisko. Właściwie — używając pojęć normalnego świata — wszyscy kwalifikują się do łóżka. Ale system szatańskiej organizacji pracy w Oświęcimiu wykrzesza z tych nawpół śpiących z wycieńczenia ciał ludzkich jeszcze ostatek sił. Śmigają kije nad skulonymi postaciami. Błądzą po ziemi w ich takt obciągnięte skórą piszczele rąk więźniów. Chwieją się na suchych badyłach szyi bezwładne głowy, kadłuby czołgają się po ziemi, nie umiając już posługiwać się podporą chwiejnych nóg.

Dwa cienie naraz zsunęły się w bruzdę. Nie czołgają się więcej. Leżą bez ruchu. „Nie spać” — wrzeszczy dozorca i skacze po miękkim świeżo skopanym kartoflisku od jednej postaci do drugiej. Zresztą nie robi tego zbyt energicznie: i tak wie, że nieza długo, za kilka czy kilkanaście dni, całe pole przemienić się musi w krainę cieni. Bo to oddział więźniów na wykończeniu, przeznaczony w najbliższym terminie na żar wielkiego komina.

* * *

Codzień liczba wracających z pracy więźniów jest mniejsza niż liczba wychodzących do pracy. Jeśli różnica jest za mała, nie dociąga do z góry określonych pozycji statystyki oświęcimskiej, skomplikowany mechanizm obozowy puszcza w ruch jeszcze inne, bardziej skuteczne w działaniu dźwignie.

Bieżący numer świeżo przybywających do Oświęcimia więźniów wyraża się cyfrą ponad 30.000. Przeciętne zaludnienie obozu wynosi dziesięć tysięcy ludzi. Wróciło do świata może dwa tysiące. Co stało się z tą resztą, czyli dwudziestoma tysiącami istnień ludzkich?

Odpowiedź na proste zadanie wypisana jest trzema wyrazami sentencji: Arbeit macht frei, i smugami dymu, co unosi się nad czerwonym kominem.

Oba znaki — i ten nieruchomy, widniejący nad bramą obozów, — i ten lotny, wbijający się pod niebo — jednaką mają wymowę.

7. Noce.

Śłoma, nieskończoną ilość razy wymłócona ciałami więźniów na podłodze baraku obozowego zmieniła się w nędzną sieczkę. Sienniki napełnione nakruszonymi drobnymi źdźbłami zdają się mieć tylko dwa wymiary, trudno bowiem nawet wyobrazić sobie grubość tak flakowatego pośłania. Na jeden siennik przypada co najmniej dwóch więźniów. Nierzadko wściбіć się tam musi trzeci. Przykrywają ich koce, też po jednym na dwa zziębnięte, dygocące ze znużenia ciała. Ponad kocami osłonę czyni jeszcze tylko

ciemność, w której rozplątać się winny ból, niepokój, tęsknota i lęk. Wchłonie je sen — o ile swą łaską raczy obdarzyć nieszczęśnych.

Tymczasem z ponad sienników unoszą się szepty. W ciągu dnia, w torturze pracy i kar nie może wykwitnąć ludzkie ze sobą obcowanie. Dopiero teraz w nocy zawiązuje się przyjaźń, przychodzą wspomnienia i myśli bez nadziei.

Dawny sybirak opowiada o buncie więziennym za carskich czasów, jaki urządzili więźniowie za pobicie kolegi przez dozorcę, o rozprawie sądowej, obronie adwokatów, wyroku, o pracy zesłańców na otrzymanej od gminy ziemi na Sybirze. Opowiadanie nie ma powodzenia. Raz w raz któryś z bliżej leżących parsknie śmiechem, albo przerwie brutalnym uciszaniem: „Przestałbyś głądzić”. Bo i racja — zestawienia życia więźniów carskich z upiorną rzeczywistością Oświęcimia jest zbyt irytujące. Jakieś buntury więźniów, kończące się ich wygraną, sielankowe prace na własnej nieomal choć syberyjskiej ziemi, procesy z bronią, przesłuchiwanie świadków, szukaniem dowodów winy — po prostu opowiadka dla grzecznych dzieci.

I „sztubowy” groźny dozorca współkolegów warczy groźnie ze swego wygodnego, rozłożonego na stole posłania nakazując ciszę. Nieraz pozwala na odchylenie regulaminu, sam posłuchać lubi, ale prawdziwie ciekawego opowiadania. Aby zasłoniło całkowicie widmo obozowe, oderwało i jego upodloną duszę, zaprzędaną za lepszą strawę i wygodniejsze posłanie. Za dnia pastwił się nad zdanymi na jego łaskę kolegami, teraz pragnie wraz z nimi zapomnienia.

Urażony sybirak milknie.

I znów faluje szept, tym razem coraz przychylniej wchłaniany. „Sztubowy” uniośł głowę, wsłuchuje się tak spokojnie, że szept stopniowo tężeje do półgłosu. Płynie okręt po bezkresnym morzu do dalekiego nieznanego kraju. Rozłożyste korony drzew o dziwacznych palczastych liściach szumią wysoko ponad głowami leżących. Patrzą na nich gwiazdy, ułożone na obcym niebie w nie-spotykane nowe wzory. Tysiące groźnych, zabawnych, rozmyślnie wytworzonych i nieprzewidzianych sytuacji splata się w czyjś ciekawy beznamiętnie, przed latami przeżyty los. To argentyńskie dzieje wieloletniego emigranta podróżnika, który już niedługo zapewne gościć będzie na barłogu w baraku oświęcimskim. Tej nocy może pod wpływem silniejszej gorączki, szczególnie pięknie wskrzesza swą przeszłość i roztacza jej obraz przed towarzyszami.

Cisza, nasycona majakami piękna, wolności, ziszczeń, zasłuchana w odległe echa, obsiada posłania więzienne. Naraz wciska się w nią jęk. Dobiega z trzeciego od okna siennika, gdzie leży młody chłopiec, który odbył dzisiaj karę publicznej chłosty. Dostał dwadzieścia pięć uderzeń masywnym bykowcem. Miarowo, wolno, dokładnie odmierzane razy posiekały skórę, przecięły w wielu miejscach mięśnie, do ran powcisnęły pasemka postrzępionego ubrania. Te zatamponowane tkaniną obrażenia dokuczają najbardziej, gdyż zaczynają się jężyć. Chłopak ma gorączkę, rzuca się na waskim legowisku, przekracza wciąż bliźnięta granice swego posłania, trącając raz w raz towarzysza z lewej i towarzysza z prawej strony.

„Śpij byku” — upomina go jeden.

„Wyspał się już przy apelu — to ma dość” — drwi drugi. Karę dostał za niestawienie się do południowego apelu. A stało się

to w ten sposób: gdy wrócił z pracy — wyładowywał 75 kilogramowe worki cementu z wagonu, był aż zielony na twarzy, kole-dzy myśleli nawet że kipnie na miejscu, ale dowłókł się jakoś w szeregu prawie że do samego obozu. Skusiła go i przygarnęła jakaś dobrotliwa deska koło szopy, wczółgał się na nią i zasnął.

Przejęczy do brzasku, zwlecze się z pewnością do porannego apelu i odkomenderowany do swego oddziału powędruje znów na stację do wyładunku wagonów. Oh! Gdyby mógł nie obudzić się więcej! Ale tymczasem nie potrafi wogóle zasnąć — z bólu i lęku przed ponowną karą.

Z siennika rozpostartego najbliższej szafek dobiega wciąż jednolite szuranie. To więzień „X” przewany „inżynierem” przesuwając ostrożnie, wolniutko ręce raz w dół, raz do góry. Usiłuje w ten sposób wypędzić drętwość z barków, wykręconych, obumarłych podczas ostatniej godziny „słupka”, jaki wczoraj odbywał. Inżyniera złapano na przestępstwie palenia papierosa podczas pracy. Musiał za to odpokutować dwugodzinnym, rozłożonym na dwie raty „słupkiem”. Już od poprzedniej niedzieli, to jest od pierwszego zawisnięcia na wbitym w słup haku „inżynier” nie mógł spać. Dokucza mu nie tylko ból w stawach i poczucie odrętwienia w całym ciele. Dusi go wściekłość upodlenia, beznadzieja i nade wszystko bezsens cierpienia jego własnego i wszystkich tutaj wokół. Więzień oddycha cicho, szura zmęczonymi rękoma po sienniku, płosząc skąpy sen baraków oświecimskich.

„Przewróćmy się na drugi bok” — trąca sąsiada współkamrat z siennika, gdy zeszytnieje już w jednej pozycji. Samodzielnie nie może tego dokonać. Za mało jest miejsca na wąskich posłaniach, upchanych szczelnie przylegającymi do siebie ciałami, by każdy mógł się przewracać dowolnie z boku na bok.

Nie trudno nauczyć się wszystkich głosów nocy barakowych. Miarowe postękiwanie towarzyszy dojrzewaniu wrzodów, którymi obsiane są ciała wielu więźniów. Szmer przypominający skrobienie myszy dobywa się z pod każdego niemal koca: to drapanie paznokciami swędzących miejsc na skórze, gdzie rozpanoszył się mikroskopijny a potężny świerz, odbywający zwyczajnie pochód po ciałach więźniów we wszystkich salach i blokach.

Niecierpliwe sygnały sygnalizują ukąszenie pcheł, wszy, mnożących się mykami pomimo systematycznego, zarządzonego oficjalnie w ciągu dnia „wszobicia”.

Raz w raz wprzegają się w całość trzy różne odgłosy: czołganie jakiegoś ciała poprzez labirynt zsuniętych legowisk, złożeń padających z ust potrąconych, przygniatanych kolegów i człapania potem bosych nóg po wolnej przestrzeni sali w kierunku drzwi. To cierpiący na biegunkę, panującą nagminnie w obozie i chorzy na pęcherz odbywają niekończącą się do rana wędrówkę do ubikacji, i z powrotem na barłóg.

Sen wypędzany wciąż z progów baraku, znecierpliwiony do reszty odchodzi ostatecznie. Zostaje licha jego następczyni drzemota, spływająca na umęczonych ludzi na krótkie bezpłodne chwile. Nie przynosi ani zapomnienia, ani odpoczynku.

Noce oświecimskie nie rozporządzają łaską ukojenia.

8. Podziemia i strychy.

W narożniku prostokąta, w którym rozmieszczone są zabudowania obozu rozparł się barak oddziału karnego. Nie różni się on zbytnio od reszty stojących szeregiem bloków. Jest w tak samo

„koszarowym”, stylu, jak i dawne baraki, pamiętające jeszcze austriackie czasy, gdy gościły cesarsko-królewskie pułki artylerii, czy też nowe, wznoszone obecnie rękami więźniów dla wciąż przybywających ze świata współtowarzyszy. Tak samo nuży czerwonym murem cegieł, przetłacza niewymyślną pudełkowatością kształtów.

Właściwie barak oddziału karnego jest podwójny, składa się z połączonych ze sobą murem bliźniaków. I to jest pierwsze odchylenie od szablonu budowli obozowych. Drugie polega na szeregu małych okienek, wycierających w dół u jego stóp. Okienka spoglądają na świat mętnie, ponuro i tajemniczo — nic w tym dziwnego, są to bowiem źrenice ciemnie podziemnych bunkrów, skąd zazwyczaj nikt nie wraca. Dzisiaj w bliźniaczym baraku panuje niezwykły ruch. Przeprowadzka. Cały oddział karny, czyli około trzystu ludzi, przenosi się na górę, do sąsiedniego nowowbudowanego bloku. Do opróżnionego natomiast budynku przewożą ze szpitala ciężko chorych.

„Zapewne rozszerzają szpital — snują się domysły — czas najwyższy, bo w nim ciasnota niesłychana”.

Z nadejściem nocy krzątania przy baraku karnym nie ustaje. Chłręci żwir pod stopami ludzkimi i odgłos kroków przetacza się po wiodących w dół schodach, ginie w podziemiach. To przybywa nowy oddział więźniów. Pół tysiąca bolszewików. Kogo bo nie wchłania Oświęcim prócz rdzenia polskiego? Są w nim Czesi, Niemcy, Żydzi, Serbowie. Teraz jeszcze Rosjanie. Ale dlaczego umieszczono ich razem z ciężko chorymi? Przecież nie są też chorzy, skoro przyszli o własnych siłach.

Więźniowie z pobliskich baraków nie usiłują nawet zasnąć. Nasłuchują, co się dzieje w opróżnionym na gwałt i napełnionym ponownie narożnym baraku.

Krótką pauza oddziela chrzęszczącą gamę kroków po żwirze od następującego po niej nieludzkiego akordu krzyku, przedzierającego się jakgdyby przez przymknięte szpary przyziemnych okienek. W akordzie dominuje nuta przerażenia, ale doświadczone w słuchaniu uszy więźniów rozróżniają dobrze tony bólu, wołania o pomoc, wreszcie rozpacznej rezygnacji. Krótka melodia powtarza się kilkakrotnie. Gama kroków i akord krzyku. Potem zapada cisza. Prawdziwa grobowa cisza, pełzająca złowieszczo wokół podwójnego baraku. Za dnia oniebiały blok wygląda jak cmentarna płyta nad olbrzymią mogiłą.

Trzy dni nic nie narusza ciszy, warującej przy baraku oddziału karnego. Czwarta noc uchylać zaczyna tajemniczą zasłonę ze ślepowych okienek. Żwir jęczy pod naciskiem kół. Przed barak zajeżdżają ciężarowe wozy. Przeprowadzka. Tym razem nie ludzi, tylko rzeczy. Ubrania te, co okrywały do niedawna ciężko chorych przewiezionych do szpitala więźniów polskich i te zdarte z bolszewickich jeńców. Obozowe dreluchy i wojskowe mundury wędrują pospołu do bloków, w których mieszczą się magazyny. Po pewnym czasie zmienia się szybko zawartość wozów i ich kierunek. Teraz nagie ciała ludzkie piętrzą się wysoko między deskami platformy, koła zaś zbaczają za bramę w przeciwną stronę magazynowi kraniec: toczą się w stronę krematorium.

Wystarczy pięciu minut, aby przejść z dziedzińca obozowego do zielonego darninowego nasypu krematorium. Żywi ludzie, więźniowie, choć pchający ciężko naładowane trupami wozy nie zużywają wiele więcej czasu: śpieszno im pozbyć się upiornego

ciężaru. Ale nie prędko zaprzestaną pracy, bliźniaczy barak wciąż dostarcza ładunku, ciężkie wozy, zaprzężone w żywych ludzi przemierzają drogę od narożnika baraku w obozie do drzwi krematorium w ciągu kilku nocy. Za dnia głucho milczenie znów otula podwójny blok oniemiałego budynku. Nocami obroty kół występują tajemnicę podziemi.

W poprzek i wzdłuż wozu, beładnie powrzucone nagie ciała odbywają ostatnią swą wędrówkę. Osiłania je tylko nikła poświata księżycowa. I ona to zapewne pogłębia martwość rysów twarzy i stęży siność nagich ciał. Żywi ludzie z zaprzęgu nie przynaglani przez nikogo, sami przyspieszają bieg. Niezręcznie pchnięty, obciążony nierównomiernie wóz przechyła się i wywraca. Na jedno mgnienie trupy zdają się wracać do życia, przeskakują przez siebie, toczą się drogą, wywijają gołymi rękami, przewracają się na boki i znów zastygają w bezruchu z twarzami zwróconymi do nieba lub do ziemi. Księżyc z dalekiego zachodniego krańca nieba nikle przyswieca grabarzom przy ich robocie ponownego ładowania wozu. Blask jego zmieszany z przesączającym się światłem porannej zorzy niknie potrosze: ale nie rozprasza się dziwaczna zieloność zgarnianych z ziemi martwych ciał, coraz wyraźniejszych teraz na przyprożu budzącego się dnia. Jeden z kolegów grabarzy przywarł do trupa, którego ujął wpół, by podrzucić na piętrzący się znów na wozie stos, wpatruje się długo w szaro-zielone oblicze. Widział już kiedyś przed laty, podobne. Opuszczony okop. W okopie trupy żołnierskie. O takich samych widmowych sinych ciałach. To piętno gazów trujących.

Z ciemnicy bunkrów, skąd nikt żyw nie wychodzi i nic opowiedzieć nie może wraz z pierwszym brzaskiem dnia przesącza się tajemnica ośmiuset pozbawionych życia ludzi. W krótką melodię, zaczynającej się od gamy kroków wplatają się słowa: zatruli gazami.

* * *

Oddział więźniów, przydzielony do pielienia buraków, obsiadł pole. Palce przemykają się między małątkimi, ledwie ulistnionymi roślinami, wyskubują rozwielniające się chwasty. Jednostajność — przeraźliwą w nieprzerwanym trwaniu ograniczonych, skąpych, nudnych ruchów — urozmaica obraz toru kolejowego, rozpiętego łagodnym łukiem na bliskim horyzoncie. Od czasu do czasu przemyka po nim pociąg, wędrujący ze świata i w świat. Wówczas oczy więźniów odrywają się na chwilę od ziemi — przestają rozróżniać czerwieniejące listki buraków od zielonych kępek chwastów. Zagrożenie karą, lub doraźne jej wymierzenie dobrze znanym szturchańcem dozorca odrywa wzrok pracujących więźniów od majaka wolności i przykuwa z powrotem do ziemi.

Wagony otwarte, zamknięte, wiozące ludzi, drzewo, maszyny, węgiel są jakgdyby znakami dawnego przedobozowego życia. Może przyszłego poobozowego. Zły los zrząda, że tego dnia między innymi przesuwa się po torze pociąg z rannymi żołnierzami. Widok zabandażowanych głów, rąk, nóg niemieckich żołnierzy sprawia że przez ludzi skubiących zielsko przepływa jakiś osobliwy, gorączkowy prąd. Zrywają się z ziemi, prostują zgięte kadłuby, potrząsają zaciśniętymi w pięść dłońmi i krzyczą na cały głos z rozpierającej ich otuchy!

Wściekły i przerażony dozorca nie może zdać sobie sprawy, co się stało. Rzuca się na najbliższej stojących, a właściwie tańczących dziko więźniów, woła swego pomocnika. We dwóch „gaszą” bunt,

zatrębiając poprostu na śmierć pięciu ludzi. Poczem zarządzają przerwanie pracy i marsz do obozu. Cała reszta oddziału, kilkudziesięciu napół przytomnych, jakgdyby pijanych ludzi wędruje do narożnego bliźniaczego bloku karnego. Podziemne bunkry wchłaniają ich wszystkich bezpowrotnie wraz z ich ostatnią dziwną radością.

* * *

W podwójnym baraku oddziału karnego prócz schodów prowadzących w dół do podziemi są też schody wiodące na strych. Tam bliżej ziemi, tutaj bliżej nieba.

Na strychu przyswiewają również okienka, niewidoczne zresztą zewnątrz, gdyż przebite w samym pułapie. W półmroku przesączającego się światła widać zarysy słupów, podtrzymujących wiązania dachu. Na słupach wiszą ludzie. Żywi zresztą, gdyż poruszają się nawet dość gwałtownie. Do każdego słupa wbito hak. Każdemu z powieszonych więźniów skrępowano w przegubie ręce łańcuchem. Łańcuch zawieszono na haku. Stopy wiszących nie dotykają podłogi, znajdują się o kilka zaledwie centymetrów nad jej powierzchnią. Ręce założone na plecach powyżej krzyża wykręcają szpetnie do przodu stawy barkowe. Rząd słupów ciągnie się poprzez całą długość wielkiego, pokrywającego podwójny blok strychu. Żadnej belki nie pominięto. Przy każdej skrzypi obciążony ciałem ludzkim łańcuch.

Jest to tak zwany „słupek” — jedna z pospolitszych kar stosowanych na strychu baraczanym, w miejscu bliższym nieba.

Jedyny punkt oparcia zawieszonych ciał stanowią przeguby złączonych rąk. W tym właśnie punkcie ogniskuje się w pierwszej chwili straszliwy ból. Jakgdyby w skórze tworzyły się szczeliny, jakgdyby kości rozszczepiały się na dwoje. Żeby nogi dosięgnąć mogły podłogi — a wydaje się, że trzeba je tylko trochę, ledwo, ledwo naprężyć, by poczuć twardość pod stopami — ciężar ciała spocząłby na włściwej podstawie. Ustałby ból, ustałby niepokój całego ciała, ustałaby męka. Wiedzą o tym dobrze ci, co stosują torturę. Zawieszeni odruchowo szukają oparcia dla stóp, wypiężają nogi w kierunku ziemi, powiększając każdym ruchem ból w przegubach. Rozprzestrzenia się on zresztą niebawem na stawy barkowe, kręgi szyi, biodra.

Każń odbywa się niedzielnymi rankami, by nie marnować dnia roboczego i trwa po godzinie. Kto dostanie dwie godziny „słupka”, ten wisi co tydzień po godzinie, trzy godziny — rozkłada się na trzy niedziele. Jaką zasadą kierują się oprawcy oświęcimscy przy rozkładaniu tortury na tygodniowe raty? Tą samą zapewne, która im nakazuje więźnia skazanego na śmierć raczyć nieraz w ciągu roku wszystkimi udrękami obozu, zanim wyrok zostanie wypełniony.

Po kilku minutach wiszenia całe ciało ogarnia zdrętwienie nie zmniejszające bynajmniej męki, tylko ją przeobrażające. Drętota przesuwana się od stóp do głowy, nie wchłaniając najboleśniejszych ośrodków: zaciśniętych kleszczami łańcucha przegubów, wykręconych barków, wygiętej szyi. Odrętwienie staje się bólem, tylko innym. Mięśnie, stawy, by wyzwolić się z niego, próbują coraz innego położenia. Jakże im dogodzi człowiek przytwierdzony do słupa. Szarpie się na męczeńskim palu, krzyczy boleśnie i liczy najdłuższe minuty najdłuższej godziny swego życia. I gdy wreszcie mija jeden z największych wycinków wieczności — godzina „słupka” — jęczący z bólu więzień nie ma kąta, gdzie mógł-

by odleżeć, wypocząć po torturze. „Słupki” odrabia się w porannych godzinach, regulamin zaś surowo zabrania rozkładania pościeli w ciągu dnia. Do wieczora więc będzie obnosił ból sponiewieranego ciała między ścianami sali baraku, albo po twardym żwirze dziedzińca. Nocą legnie na wiotkim sienniku, przez który podłoga odcisnie stygmaty na wszystkich zbolałych jego członkach. Raniutko powlecze się do roboty.

Za jakie przewiny straszliwe skazuje się ludzi na tak okrutną karę?

Oto pierwszy z wiszących ośmielił się zapalić papierosa w godzinach pracy, drugi usiłował schować się przed pracą podczas ulewnego deszczu, trzeci ukradł bochenek chleba z magazynu, czwarty odezwał się niepytany podczas apelu...

Długi rząd słupów podpira wiązania dachu na strychu baracnym.

W niedzielne poranki słupy się zdwajają, równolegle do warstw drzewa przylegają do nich białe i niebieskie paski chałatów więziennych.

Golgota oświęcimska odbywa się w niedzielę.

9. Ucieczka.

Przeraźliwie wyje syrena. Alarm w obozie! Przenikliwy zło-wrogi głos rozptywa się potężną falą wokół w dziesięciukilometrowym promieniu, przyprowadzając o skurcz tysiące serc więźniów.

Głos syreny dźwięczy jak zew śmierci dla każdego z dziesięciu tysięcy więźniów, chociaż naprawdę przywołuje za każdym razem zaledwie dziesięciu. Nie wiadomo tylko, na kogo padnie los. Syrena huczy, obwieszcza: ucieczka. Ktoś uciekł z obozu. A za ucieczkę jednego wyznaczona jest stała cena: życie dziesięciu kolegów.

Syrena zwołuje wszystkich na zbiórkę. Zbierają się na dziedzińcu. Stają w szeregach. Czekają znieruchomieli. Tylko oczy ślizgają się niespokojnie, jak daleko wzrok sięgnie po zamartych postaciach: ty jesteś i ty jesteś i ciebie widzę — kogo więc brak? Może to nie, w moim oddziale, może w sąsiednim, albo jeszcze dalszym ktoś uniósł wraz ze swą wolnością prawo do nadziei dziesięciu innych? Błądzące, szukające oczy natrafiają na wyrwę. W czwartym szeregu brak suchej figuryńki, która co dnia stała w samiułku jego środka. Ale może poszedł do szpitala, może poprostu umarł przy pracy, może przeniesiono go do innego bloku? Nic nie wiadomo. Dziesięciom tysiącom ludzi śmierć narazie jednakowo zagląda w niespokojne oczy i kurczy pomartwiałe serca.

Kolumna ludzka stoi bez ruchu godzinę, drugą, trzecią. Mija pora obiadowego posiłku, wieczornej zbiórki, snu. Dokoła wszystko jest poruszone, z zachodu suną szybko ciemne chmury, roniąc ukosem drobniutkie zimne krople, wiatr szarpie poły cienkich, utkanych z włókna drzewnego płaszczy więziennych, przekrzywia na głowach okrągłe mycki. Tylko zastygłe szeregi ludzkie sztywnieją w bezruchu. Zdrętwiały nogi, bolą plecy, dłonie zaczynają tracić czucie. Zimno i niepokój ubiegają naprzemian o zwycięstwo nad stojącą gromadą. Naraz w bocznych szeregach ludzie zaczynają trzepotać rękami, podrygiwać nogami, potrząsać głowami. Przebiega przez nich jakgdyby jakaś gwałtowna drgawka. I ustaje nagle, jak nagle przyszła. To dozorca odwrócił na chwilę baczny wzrok. Ukradzionej szczęśliwie chwili odprężenia mięs-

ni i odrobiny ciepła starczy na kilka sekund i znów trwa dalsze, nieznosne, wielogodzinne czatowanie na odwrócenie cerberskiej uwagi i wyrok losu. Ciało zaczyna sztywnieć, jakiś mrok zasnuwa mózg. Łomot. Ktoś upadł. Jeden już się z szeregu wycofał, już nie jest ciekawy czy będzie należał do ekipy dziesięciu. Zostanie poprostu jedenastym. Kolumna stoi sztywno. Nie wolno podnieść kolegi. Po chwili, niby spóźnione echo łomoce drugie zeszywniałe ciało. Gdyby je podnieść, przenieść do budynku, ułożyć na posłaniu, rozetrzeć — upadek nazywałby się zwykłym zesłabnięciem, omdleniem. Dwadzieścia cztery godziny wyczekuje kolumna na zimnie, wietrze, deszczu, by zapłacić dziesięcioma istnieniami ludzkimi za ucieczkę kolegi. Leżące na ziemi, stygnące ciała nie wchodzą do rachunku, stanowią nadprogramowy dodatek. Dopełnia się ostatnia godzina doby, podczas której ludzie bez snu i pożywienia, bez możliwości ruchu, czekali na śmierć. Zjawia się wreszcie jej wysłannik — komendant obozu. Bez słów wchodzi między więźniów z bloku, w którym zbrakło jednego żywego numeru. Wybierze dziesięć ofiar, a wybierać będzie najslabszych, najbardziej zdartych, nieprzydatnych w gospodarstwie obozowym. Wiadomo, że nawet w Oświęcimiu siła jeszcze coś znaczy. Niemoc natomiast sprzegnę nie ze śmiercią. Wzrok komendanta przesuwają się wolno po więźniach: kogo dotknie, ten przeżyje się, prostuje, wypina klatkę piersiową, podnosi głowę do góry i spogląda z szaleńczą odwagą przed siebie. Tylko siła może zwyciężyć. Szereg starganych, znękanych ciał usiłuje na tę jedną chwilę przywrócić sobie dawną ciężyznę i dziarskość.

„Komm” — pada pierwszy wyrok śmierci. Więzień napina w ostatnim desperackim wysiłku ochłapy mięśni, przeży osłonięte wiotką skórą piszczyle, nabiera do ust zdwojony łyk powietrza. Komendant nie spuszcza oczu z ofiary. „Komm” — mówi powtórnie. I naraz ciało nieszczęsnego więźnia wiotczeje, maleje. Zrozumiał, uległ. Długo jeszcze wzrok wysłannika śmierci błądzi po szeregach. Każdemu jego zatrzymaniu się towarzyszy dookólne wystchnienie ulgi: „a więc nie ja” i jeden rozpaczny jęk: „stało się”.

Dziesięciu wybrańców opuszcza szeregi. Podążają do podziemi karnego bloku. Wprawdzie „prawo” obozu głosi, że — o ile w ciągu trzech dni zbieg się znajdzie — zakładnicy zostaną wypuszczeni z bunkrów, ale doświadczenie poucza niezmiennie, że nic podobnego się nigdy nie stanie. Zbieg, jeśli nawet wróci, nie uratuje ani siebie, ani swych towarzyszy. Oświęcim nie uznaje uroczystości powrotu do życia.

* * *

Przy rozbiórce domu w pobliżu szosy pracuje gromada dwudziestu więźniów. Dziewięciu kruszy łomami frontową ścianę, sześciu zwozi gruz, pięciu układa na stos drewniane framugi drzwi i okien. Dozorca zadowolony jest z ekipy: dobrali się sami „nowi”, nie wynaleźli jeszcze sposobów jak zręcznie markować robotę, by oszczędzać siły. Tylko jeden z ostatniej piątki nie zachowuje się jak należy. Coraz to z innego końca wynurza się, w coraz to inne miejsce układa, rozłączone z prostokątów framug, deski. Dozorca ma na niego oko, ale robi to tak sprytnie, że więzień ośmiela się coraz bardziej. Wreszcie w pewnej chwili, po złożeniu ciężaru, nie ukazuje się przy kolejnym otworze okiennym. Zniknął. Dozorca widzi wtuloną w gruzowisko postać, śledzi przeczołgiwanie się jej między kupami połupanej cegły. Wyczekuje

chwilę, poczym wszczyna przeraźliwy rumor, nie tracąc przy tym niebiesko-białej plamy z pola widzenia. „Uciek! Szukać!”

Dozorca zabawi się znakomicie.

Z jaką wściekłością, zaprawioną lękiem o własną skórę, koledzy będą szukali tego, co swym zniknięciem nastawa na ich życie. Mały oddziałek zamiera w grozie, poczym rozsypuje się na wszystkie strony, przeszukując kupę gruzów, stosy desek i wzgórkę nasypów. Dozorca w roli naganiacza, kieruje zrećźnie pościgiem w stronę ukrytego. Już wyciągają go rozwścieczone koleżeńskie dłonie z pod wielkiego rumowiska, już wali w pierś łom zaciśnięty w rękę współtowarzysza pracy i niewoli. „Nie bijcie, znaleźliście przecie! Już nie ucieknę!” Ale podsycane doniedawnym lękiem razy, spadają na głowę, piersi, brzuch nie mogącego powstać chłopca. Dozorca przygląda się z uciechą widowisku, chociaż zaczyna rozumieć, że skończy się ono niezadługo na miejscu, nie będzie miało dalszego ciągu, tak urozmaiconego zazwyczaj po powrocie z winowajcą lub bez niego do obozu. „Spokój” — próbuje nawet interweniować, czyni to jednak z tak niezrozumiałą dobroduszością, że dolewa oliwy do ognia. Zresztą jest już zapóźno: drugi cios łomem, zadany tym razem w głowę, ucisza raz na zawsze winnego.

Padł z rąk towarzyszy, którzy nie hołdują wolności, okupionej życiem współkolegów.

* * *

Z za dziesiątej góry, z za dziesiątej rzeki a wrócił przecież. Już nauczył się był oddychać bez trwogi, już zaczynał czuć kielkujące w nim na nowo pragnienie dobra, prawdy, sprawiedliwości. Znaleźli go w domu przyjaciół po dwóch miesiącach od chwili cudownego wygrania wolności.

I oto złapany wraca do obozu. Triumfalnie. Uroczyście. Ubrany odświętnie. Na głowie ma czapeczkę dżokejską na piersiach transparent z napisem: „Hurra! Znow jestem pośród was”. Cały obóz przygląda się w podnieceniu defiladzie, zbiega po uliczkach między szpalerami bloków. Rozlegają się nawet ożywione okrzyki radości. To cieszą się koledzy, że przecie to nie oni będą zbierali owoce dwumiesięcznej nieobecności. Cyrk, istny cyrk zorganizowany przez władze obozowe. Kredowa twarz pod śmieszną dżokejką przypomina znakomicie wymazaną na biału zazwyczaj maskę błazna. Bębny wybijają powitalny werbel, który niebawem przemieni się w pożegnanie. Procesja okrąża wszystkie baraki i zdąża do łypiącego chciwymi okienkami bloku karnego, który otworzy swe podziemia zbiegowi.

Uczestnicy zabawy rozchodzą się. Staną zaraz do apelu wieczornego, który stwierdzi, że nikogo tym razem nie brak w stojących gęsto szeregach.

Daleki odgłos salwy karabinu wstrząśnie cisza przedwieczorną, ogłaszając wyjście za ostatnie kulisy jedynego aktora dzisiejszego widowiska.

10. Niecierpliwi.

Nie jednakie są ostatnie krople, przepełniające czarę...

Można w ciągu wielu miesięcy cierpieć mdły głód, rozluźniający wszystkie mięśnie, wściekle ukąszenia zimna, odgryzające po kawałku palce rąk i nóg, można znosić co dnia razy, spadające na chwiejający się w torturze pracy grzbiety, można zapomnieć, gdzie się ma jeszcze zdrowy ośrodek ciała, można spływać krwią

i ropą z niegojącej się nigdy rany, można wyciągać chleb z ręki konającego towarzysza i nie doznawać wstrząsu sumienia, można skamleć bezskutecznie po wyjściu ze szpitala o brzeżek barłogu na zajętych już przez innego posłaniu, można dusić się ustawicznie w lęku, upodlenia i bezsily. Można zatracić wszystkie przywileje człowieczeństwa — i pragnąć jeszcze żyć.

Ale zdarza się, że jakieś źle zrozumiane słówko, w niemieckim przepisowo liście z domu spłynie gorzką kroplą do umęczonej duszy i zgasi tlejącą w niej wolę przetrwania; zdarza się, że ostatni węzeł cierpliwości rozluźni się, że nie podobna przeboleć zguby jakiegoś drobiazgu, przechowywanego dotąd szczęśliwie przed złym okiem dozorca.

Bo nieraz można opierać się długo atakom huraganów i ugiąć się wreszcie pod naporem lekkiego podmuchu.

Zbyt ciężko jest zdobyć w Oświęcimiu równowagę, by zapewnić jej utrzymanie do końca.

W nieustających zapasach życia i śmierci w Oświęcimiu nie zawsze śmierć występuje jako strona atakująca, nie zawsze człowiek broni się przed nią, uchyla wszystkimi siłami od jej ciosu. Bywa też, że to śmierć właśnie umyka przed człowiekiem. Człowiek napada, goni, usiłuje pochwycić obojętną wybawicielkę. A ta poddać się nie chce. Ucieka, wabi, wabi i ucieka.

Obóz otoczony jest wysoko w górę rozpiętym pasmem drutu kolczastego. Poprzedza je pojedyncze włókno drutu, biegnące wokół o trzy metry bliżej zabudowań i zaopatrzone w napis „halt”, ostrzegający śmiaków przed przekroczeniem Rubikonu. Nocą, przez druty wysokiego ogrodzenia, przepływa prąd elektryczny. Dniem i nocą zaś pilnują całości męki oświęcimskiej strażnicy na wieżach wartowniczych, wyrastających co kilkadziesiąt metrów z gładkiego pasma drutu. Z każdej wieży wysuwa żądło lufa karabinu maszynowego.

Nieraz—a dzieje się to zażwyczaj przy powitaniu nocy z dniem, o cichej godzinie świtu — przemyka po schodach baraku postać więźnia. Biegnie w stronę ogrodzenia, mija wzgardliwie ostrzegawcze „halt” i wpatrzona w ciemniejącą na wieży sylwetkę wartowników zdąża do zwartego, kolczastego pasma. Twarz więźnia próbuje ułożyć się w wyraz zuchwalstwa. Ucieka! Niech wartownicy uwierzą: ucieka! Ale tragiczna maska inną wypowiada prawdę — wyziera z niej rozpaczne błaganie: Obrzućcie kulami! Zabijcie!

Posłuszny wcale nie błaganiom niecierpliwego więźnia, ale przepisom obozowym, karabin maszynowy warczy i wyrzuca przed biegnącym człowiekiem serie wystrzałów, nie czyniąc mu żadnej szkody. Nie dosięgł go ani jeden tak upragniony pocisk.

Człowiek biegnie dalej wzdłuż napiętych równiutko drutów. Nie dotyka ich, ale i tak nie są one teraz zabójcze: prądu niema za dnia. Człowiek zbliża się w biegu do drugiej wieży. Tym razem śmierć przyjęła wezwanie. Dwie kule ugodziły ramię więźnia. Człowiek goni dalej broczący krwią, ale wciąż pozostający wbrew woli w służbie życia. Karabin trzeciej wieży jest zręczniejszy, trafia w pierś, nie dotarł jednak do serca. Uciekająca śmierć nie chce kończyć gry. Zawzięty prześladowca ściga ją i wreszcie zwycięża. Pada na warujący, najeżony drut ogrodzenia ze zmasakrowaną twarzą. Nie maluje się na niej już ani zuchwalstwo, ani błaganie. Wyraża nicość śmierci.

NOWA POLSKA

Reprezentuje kulturę polską i służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej.

NOWA POLSKA

pozyskała najwybitniejszych pisarzy, poetów i publicystów emigracji.

W NOWEJ POLSCE

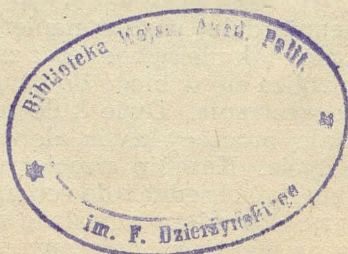
ogłosili utwory następujący autorzy:

Baliński St., Bloch J., Bramson A., Broniewski W., Ciotkosz A., Cękalski E., Danilewiczowa M., Estreicher K., Eydziatowicz K., Falska D., Gałda G., Górka O., Grosfeld L., Gross F., Gotlib H., Hładki Z., Hemar M., Hertz A., Janta A., Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Kot St., Karpiński S., Łagniewski Ł., Łobodowski J., Malessa S., Markowski F., Naglerowa H., Nagórski B., Ordega A., Pawlikowska M., Pragier A., Poznański C., Piotrowski M., Pomian B., Potworowski T., Piskor A., Pruszyński K., Pruszyński M., Raczyński E., Słonimski A., Sokołów F., Stańczyk J., Stempowski J., Strasburger H., Szerer M., Szczepański J., Szczerbic D., Terlecki T., Themerson S., Topolski F., Tuwim J., Tuwimówna I., Wójcicki A., Wittlin J., Wieniewski I., Waligórski A., Zahorska S., Zamoyski T., Zubrzycki B., Zweig F., Żuławski M.

Abonament roczny z przesyłką :

w W. Brytanii i Dominiach	£ 1.16.0
w Ameryce Płn. i Płd.	\$ 7.50

Telefon Redakcji — MUSeum 1409







348151





34815/
2